Lwów 22. Września | Nr. 113. | Rok 1855.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek*, *Czwartek* i *Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. półr. 3 Złr. kwartal. 1 Złr. 30 kr. miesięczna 40 kr. m. k. W kraju z przesełką pocztową rocznie 8 Złr. — półrocznie 4 Złr. — kwartalnie 2 Złr. m. k. Ryciny mód kwartal. 1 Zł. 20 kr.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po 3 kr. za następ. po 1½ kr. i zadopłatę 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie. Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha*.

JAK TO BYWAŁO.

przez

Oswalda Pietruskiego.

(Ciąg dalszy.)

IX.

Wizyta sąsiedzka.

Podróż starosty Olchowieckiego nie bardzo się powiodła. Z samego już początku złe wróżby nie wiele dobrego obiecywały, bo i zając drogę przebiegł, i baba z próżnemi wiadrami zaszła drogę. To też ledwie ćwierć mili ujechawszy od Chocimierza, złamał się dyszel i pan Koziebrodzki rad nie rad, dopadłszy sanek jakichsić, powrócił do domu i postanowił już więcej nie wyjeżdżać, co zrobiło wielką satysfakcją jego żonie czyli pannie jak jeszcze wówczas mężowie żony swe nazywali, bo pani Koziebrodzka od razu przeciwną była tej wycieczce, uczynionej w porze tak niestosownej.

Pan starosta jak już mówiliśmy był wielki gospodarz i przyzwyczajony do ciągłej pracy. Nudził się więc niepospolicie i sam nie wiedział co ma począć z sobą. Aby się rozerwać posłał po oficjalistów swoich. Jakoż wkrótce wszedł czyli raczej wtoczył się ekonom Silewski, obdarzony niepospolitym prawdziwie nie ekonomskim brzuchem. Zasapany skłonił się nisko i ledwie mógł przyjść do słowa z wielkiego pośpiechu i zadziwienia, niespodziewanym powrotem pana spowodowanego.

— Cóż tam woły moje? zapytał pan Marcin; czy mają wygodę i czy zwieźli siano jakie naznaczyłem?

— Wedle rozkazu jasnego pana, wszystko tuczy się doskonale; jeden wolik zachorował; kazałem zatem wszystkim wołom krew puścić.

— A Chaim przed wyjazdem czy zabrał wódkę zasygnowaną?

— Wedle rozkazu jasnego pana! Ale Chaim nic nie wziął, tak się spieszył, że zaraz usiadł na sanki i gdzieś tam poleciał.

— Dobrze zrobił! możesz wasze iść!

— Wedle rozkazu jasnego pana; jabym potrzebował kilkaset znaczków pańszyźnianych, po połowie ciągłych, a po połowie pieszych.

Pan Koziebrodzki wszedł do magazynu, lecz jakież było jego zadziwienie, gdy szufladę ze znaczkami zastał próżną. W pierwszej chwili z wielkiego przerażenia sam nie wiedział co ma sądzić o tem; wyprawiwszy więc ekonoma, głębokiej oddał się medytacji. I oczywiście padł na trop prawdy, lecz to go jeszcze więcej przeraziło, zaczął bowiem w głowie układać wszystkie najniepomyślniejsze przypuszczenia i skutki jakieby z tego wyniknąć mogły, zwłaszcza z panem starostą Kaniowskim.

Zgryziony pobiegł do swojej panny, by jej także zasięgnąć zdania. U nas bowiem w naszem dawniejszem społeczeństwie żona nie była tem czem jest zwykle dzisiaj. Dziadowie nasi czy w szczęśliwych czy w nieszczęśliwych zdarzeniach wielkie w małżonkach swych pokładali zaufanie. I lepiej się działo, chociaż nieraz w szlacheckim domu potomstwo sypało się przez całych lat trzydzieści.

Opowiedział więc małżonce całe zdarzenie, i wszystkie swoje domniemywania co do prawdopodobnego planu Chaima i z wątpliwem spojrzeniem oczekiwał jak wyroczni żoninego zdania.

— Tak to zawsze bywa; odrzekła starościna dyplomatycznie; mon cher Dobrodzieju, kiedy pan mój pierwej nic nie powie. Próżna teraz reflexja! mojem zdaniem teraz już całą rzecz zdać na los szczęścia.

Taka odpowiedź nie wiele mogła uspokoić, to też pan Koziebrodzki kilka dni przebył w największej wątpliwości i w piekielnych katuszach. Tłukł się jak Marek po piekle od ściany do drzwi, od okna do okna. Aż nareszcie jednego dnia usłyszał mocne trzaskanie z bicza, zwiastujące oczywiście przybycie gości; przybierając więc twarz jak mógł najweselszą wybiegł na ganek.

Lecz niemógł z razu odgadnąć jakich mu Bóg gości daje. Bo dawniej nie tak to łatwo przychodziło jak dzisiaj, gdzie na wsi do syta znane są sąsiedzkie landary i szkapy; dawniej trzymano cugów mnóstwo, a konie zmieniano często, a do tego obywatelstwo z najdalszych okolic odwiedzało się nawzajem. To było tylko pewne dla gospodarza że napływ gości był niepospolity.

Wjechała bowiem najpierwej na dziedziniec kareta poczwórna, sześcią końmi karemi ciągniona; pod nią gary niemalowane; z tyłu tłomoki postronkami przywiązane; na nich siedziało dwoje sług różnej płci, a nad ich głowami wisiały pudła łubowe z kobiecemi strojami zapewne. Druga kareta podobna do tamtej, odznaczała się tylko mnóstwem okien okrągłych i półokrągłych; przy koźle stangreta wisia-

ło sito do przesiewania obroku, ale za to żadnych pudeł z kornetami. Dalej landara czerwona, złocistemi gwoździkami nabijana, ciągniona przecudnemi sześcią szpakami, i jeszcze jedna podwójna kareta z sześcią bułanami.

Niepewność gospodarza nie długo wszakże trwała, bo z jednej karety wysadził głowę niecierpliwy Łowczy nadworny, Bielski, wołając:

— Witam, witam pana starostę! Będąc w tych stronach niemogłem przenieść na sobie, by nie dojechać do Chocimierza. Serdecznie witam mego dobrodzieja.

— Jedyną obawą naszą było; dodała pani Łowczyna, czy jejmości dobrodziejce nie przeszkodzimy w pomyślnej fatydze, ale nas uprzedzono że czas jeszcze uściskać przed aferą.

— Prędzej śmierci jak takich gości spodziewać się mogłem. Upadam do nóg! odpowiadał gospodarz który ucałowawszy rękę łowczyny, sam niewiedział co ma z sobą robić. Czy podać rękę łowczynie i do pokojów prowadzić, czy czekać na drugich gości. Na szczęście wyszła sama pani Koziebrodzka i wyprowadziła męża z ambarasu.

Z drugiej karety wysiedli Mrozowiccy, starostwo Stęgwilscy z córkami; z trzeciej landary pan Jerzy Golejewski, skarbnik kołomyjski i pan Onufry Kunaszewski, skarbnik trębowelski; z czwartego nareszcie pojazdu starosta upitski, Puzyna, z nieznajomym jakimś wojskowym polskim.

Zaczęły się witania i komplementa, którym końca ni miary nie było. Starosta Puzyna przedstawił gospodarstwu towarzysza swego, którym był półkownik Zamojski, bitny syn ojczyzny.

— Bardzo mi miło poznać i witać w moim domku tak zacnego gościa; przemówił gospodarz z powagą.

Weszli wszyscy do pokojów bawialnych, gdzie witania i komplementa powtórzyły się z dodatkiem rozmaitych do osób i rzeczy stosownych alokucji. Byli to dla starostwa szanowni bardzo goście; trzech bowiem między niemi było orderowych. Bielski miał orła białego i ś. Stanisława; Puzyna zaś i Zamojski ś. Stanisława.

Starościna Olchowiecka była zawołaną gospodynią; jakoż bez poprzedniej dyspozycji wkrótce zastawiono sute śniadanie, złożone z bulionu, likworów, marynat, szynek, ozorów, sucharów i konfitur najrozmaitszych. Były i ciepłe półmiski, trunków podostatkiem i mimo dnia postnego nie mało mięsnych auszpików i t. d.

Przy śniadaniu zawiązała się ogólna konwersacja, prowadzona z wielką powagą i przyzwoitością.

Łowczy Bielski. Przyznać trzeba, pani starościna dobrodziejka regalizuje nas doskonalemi specjalikami.

Starościna. Łaskawe żarty pana łowczego dobrodzieja. Wiem ja jak w Pieniakach przyjmują gości.

Puzyna. Ale gdzież sumienie mościa dobrodziejko w dzień postny przyprowadzać nas do grzechu takiemi specjałami mięsnemi.

Starościna. Jest to zaprawdę zgorszenie. Ale panowie macie teraz tyle zgryzot, że możecie sobie pozwolić, chociażby apetytowi dogodzić. Wszak to jedno tylko pozostało. Wreszcie Warszawa daje nam w tym względzie przykład; już za króla Augusta biskupi nawet w post dawali mięsne obiady, a za dzisiejszego króla zupełnie się z postów wyłamano.

Mrozowicki. W tem też właśnie początek nieszczęścia krajowego. Za despektem religii wszystko złe idzie.

Zamojski. Idzie tu podobno o dobry przykład tylko. Dawniej obserwowano posty, a niemniej przecie w innych rzeczach pozwalano sobie.

Łowczyna Bielska. Już to i u mnie do śniadania dają mięsne potrawy. A przy obiedzie jak są u nas księża jezuici, muszę ciągle piec raki.

Bielski. Może też za to i kara boska na nas spada, że niemożemy dochować się syna. Trzeba będzie się poprawić.

Mrozowicka. Ja jestem w tem u siebie skrupulatniejsza, nieprzymawiając kochanej gospodyni. I chcąc niejako przymówkę wynagrodzić serdecznie ucałowała gospodynię.

Kunaszewski. To zależy od okoliczności. Mój dziad pewnie nie obserwował postów pod Wiedniem.

Golejewski. Ja się z tego co roku spowiadam, a jak się trafi okazja, niemogę się przezwyciężyć.

Gospodyni uprzejma usługiwała wszystkim, nie zapomniawszy i o pannach Mrozowickich, którem ponakładała na talerze mnóstwo rozmaitych przysmaków. Za co obie panny z uszanowaniem ucałowały rękę gospodyni.

— Jakże żałuję, ozwała się do nich, że niema moich siostrzeńców, bym je mogła przedstawić pannie Konstancyi i pannie Annie, które jak słyszałam wyręczają już matkę w gospodarstwie.

Kanstancja. Ja pani dobrodziejko mam sobie powierzony zarząd domu.

Anna. A mnie kochany ojciec używa do prowadzenia rejestrów i dyktuje listy.

Po śniadaniu damy wyniosły się, aby się przebrać; panowie zaś przeszli do pokoju bilarowego i tam baraszkowali sobie przy fajeczce, odkładając karty na poobiedzie.

Rozmowa jak zwykle zaczęła się od ogólnych przedmiotów, kręcąc się najwięcej w około polityki, gospodarstwa i stosunków familijnych. W środku tejże ozwał się starosta upitski:

— Niewiem czy jest teraz starosta Kaniowski w Buczaczu?...

Golejewski. A gdzieżby się podział, on teraz pieniądze ściąga.

Puzyna. Wolałbym całemu światu być winien, niżeli jemu. Nieznośny jest w tej mierze, bo to i procentów nie umie obliczyć i skryptu nie odda i nie potrafi nawet do-

rachować się pieniędzy. Z tem wszystkiem lubię go w towarzystwie.

Zamojski. Pan skarbnik Golejewski nie miał pewnie nigdy nic do czynienia z panem Mikołajem.

Golejewski. Przeciwnie; kupił raz odemnie woły na zimowlę; drugi raz prosił mnie na sędziego w sprawie, w której nie miał racyi. Ale jakoś zawsze wyszedłem sanus mente et corpore.

Kunaszewski. Niewiem czy to cud, czy co, ale chociaż miałem z nim mnogie styczności, okazał on mi się zawsze grzeczny i pełen uprzedzenia.

Koziebrodzki. Boś tylko szlachcic i skarbnik trembowelski, a do więcej niemasz pretensyi; ale niechbyś się tylko chciał w senatora zabawić, wnetby inaczej było. Także to oni z Radziwiłłem Karolem mają dotąd na pieńku; bo Kaniowski powiedział mu wręcz, że sumarycznie biorąc miał więcej w swym rodzie senatorów, niżeli było Radziwiłłów. I sprzeczka ta dotąd podobno nierozstrzygnięta.

Bielski. Ja nie byłem nigdy u niego; on u mnie był parę razy. Ja mam jakiś wstręt do niego. Niewiem jak się skończyła ta historja z tym Wiegibowiczem, którego zabił na równej drodze, po czem przebył kilka dni na rozmyślaniu u jezuitów.

Mrozowicki. Że go kazał bić to pewna, ale czyli tamten od plag umarł, sub judice lis.

Zamojski. Słyszałem że ta sprawa nieskończona dotąd i teraz ma się odnowić.

Bielski. I do kuzynostwa się mego przyznawał i przyjaźń okazywał, ale ja jak najdalej od niego. Raz nawet gdy bawił w Gołogórach, wolałem w lichej karczmie nocować, niżeli wstąpić do niego. Bo musicie wiedzieć mocydobrodzieje, że ten człowiek najmniej czterdzieści dusz na tamten świat wyexpedjował. Najzabawniejszem było widzieć jego minę, gdy mi przyszła z Warszawy aquila alba. Krzywił się i pienił, ale to nic nie pomogło i sam musi się kontentować krzyżem maltańskim. Ile razy się z nim zjadę, bawię się zaraz krzyżem świętego Stanisława, a drugą rękę pompatycznie zakładam za wstęgę białego orła. To go okropnie irytuje.

Koziebrodzki. I zemną urwałaby się zaraz przyjaźń, gdyby tylko nadeszła senatorja dla mnie z Warszawy. A proponują mi trzy krzesła z ramienia królewskiego, między niemi jest i województwo.

Golejewski. Lepsze hrabstwo na czasy dzisiejsze, bo dziedziczne.

Kunaszewski. Najpiękniej pozostać w stanie rycerskim, ile że nic nie ma znakomitszego nad szlachectwo polskie.

Bielski. Arcybiskup Sierakowski, Mierowie i Cetnery udecydowali, skoro tylko zostanie dozwolonem, podawać o grafostwo. Za ich przykładem pójdą zapewne i drudzy. Mówią także, że powiatowym urzędnikom dawać będą baronostwo. To to będzie istny kraj baronów.

Golejewski. Ja nie widzę nic złego w akwizycyi hrabstwa; wszak i dawniej Tęczyńscy, Ossolińscy, Lanckorońscy, Krasiccy i tyle innych otrzymali comitatum, a mimo to służyli dobrze matce ojczyźnie. Ale ciekawa rzecz coby zrobił nasz starosta upitski gdyby mu proponowano grafowstwo?

Puzyna. A na kiego mi djabła mitrę rugować?..

Mrozowicki. Ot nowości mamy. Słyszałem też jak się nasz pan łowczy nadworny popisał, gdy będąc w Wiedniu dla salinarnych interesów był na obiedzie u cesarzowej, gdzie go już nawet grafem tytułowano. Podano raki, najjaśniejsza pani zapytała: czy wielkie są raki w Galicji?.. Pan łowczy odpowiedział, mierzając po swój łokieć: Sacratissima Majestas! ja, so, so! Już to całą komedję mamy z tą naszą dzisiejszą gramatyką. Pierwsze pytanie jest: reden sie gerne daicz?... Odpowiedz na to: recht gerne, damit ich mich zu fersztehen geben kann.

Kunaszewski. Najlepsze z całej gramatyki, jakoż nauczyłem się na pamięć: dziura loch! dziura loch!

Zamojski. A ponieważ mowa o gramatyce, radbym wiedzieć, jak szanowny nasz gospodarz poprowadzi da Bóg edukacją synów; czy poświęci ich prawu, czy matematyce, historji naturalnej, lub też badaniom filozoficznym, i coby w tym razie zrobił, gdyby który z nich do medycyny pociąg miał?..

Koziebrodzki. Żadnej nie przeszkadzałbym zdolności, skoroby się ta pokazała i w tę lub ową stronę zwróciła. Zdaje mi się wszakże że dzieci nasze gospodarką trudnić się będą. Bo to dziwna rzecz z temi umiejętnościami! najwyższy matematyk podziwia zero, jako najwyższy wynalazek; każdy prawnik staje zadumany nad pytaniem gdzie się kończy słuszność, a zaczyna niesłuszność, a każdy filozof kończy słowami: ja nic nie wiem. Żaden zaś chemik ani medyk, ani kropli krwi nie skonfekcyonował. Zresztą jeniusze nie łatwo się rodzą. Śmieszną zaś jest rzeczą, dobijać się o to czego przyroda nie dała.

Kunaszewski. U nas jeniusze nie są tak rzadkie. Naprzykład nasz Naruszewicz.

Bielski. Niesiecki i Naruszewicz przynoszą zaszczyt zakonowi jezuitów.

Mrozowicki. Niemożna ich wszakże porównywać. Naruszewicz jest nieporównanym badaczem przeszłości, wielkim władcą pióra, gdy przeciwnie Niesiecki żyć tylko będzie nieśmiertelnością wyszperanego szeregu senatorów. I niepotrzebna byłaby ta praca wielka, gdyby nie anarchia metryk koronnych, w których niezapisywano porządnie wszelkich nominacji.

Golejewski. I co do dokładności wiele Niesieckiemu zarzucić można. Domowi memu przepomniał herb dopisać, chociaż cytuje, że tam któryś Golejewski był w piętnastym wieku kanclerzem u księcia mazowieckiego.

Kunaszewski. Nas znowu zmieszał z Kunatami herbu Topor, a my się przecie zawsze pieczętowali Radwanem.

Koziebrodzki. Moich przodków pisze raz Kozio, a drugi raz Koziebrodzki.

Mrozowicki. O księżach Drużbickim, Męcińskim i tylu innych pisze co niemiara, a memu domowi nie dodał przymiotu, uznanego przez całe towarzystwo, iż jest „świętym” mianowany.

Łowczyna Bielska wszedłszy w tej chwili przerwała rozmowę, prosząc by przeszli do bawialni, gdzie już panie czekały.

Z zapadającym zmrokiem otworzyły się podwoje od sali, i wszyscy zasiedli do obiadu, przebywszy poprzednio przy prowadzeniu dam rozmaite ceremonje i etykiety, na które w przeszłym wieku bardzo wiele trzymano. Jakoż nie mało to kosztowało skrupulatnych deliberacyi, zanim zadecydowano, kto kogo ma prowadzić, i w jakim ordynku mają być goście usadowieni przy stole. Tym razem tak się doskonale udało gospodarstwu w Chocimierzu, że wszyscy byli zadowoleni.

Obiad był nie wykwintny ale smaczny, mianowicie dla przyzwyczajonych wówczas jeszcze do kuchni narodowej. Barszcz z uszkami dla nieposzczących, grzybkowa zupa dla poszczących i w tym samym stosunku inne potrawy mięsne i postne; kiełbasy wieprzowe i kiełbaski z lina, sztufady i ryby, jarzyny, pasztety, leguminy i t. d. W środku tego nalewano rzęsiście doskonałe wino węgierskie, które nigdzie tak dobre nie bywało jak w Polsce, bo nawet sami Węgrzy zawsze mawiali, że aby wino węgierskie było dobre, musi iść na wychowanie do Polski. Na pieczyste przyniesiono prosięta pieczone, z tą przecudownie smaczną, rumianą i kruchą skóreczką. Łowczy Bielski amator głowy, zajmywał się właśnie odcinaniem ucha, gdy wbiegł kozak nadworny z doniesieniem, że przyjechał starosta Kaniowski.

— Ou wa! ozwał się łowczy do Puzyny; a jego po co tu?

Pan Koziebrodzki nie stracił miny, choć wewnętrznie mocno był zafrasowany, bo nie umiał sobie tej niespodziewanej wytłumaczyć wizyty. Zachował jednakże przytomność umysłu, która go w najkrytyczniejszych razach nigdy nie odstępowała, i pomału a z należytą powagą wyszedł naprzeciw nowego gościa.

— Co tu berlaczy, futer! zawołał pan Kaniowski; widzę że masz starościuniu jakieś baby u siebie. Jakże się miewasz?.. Widzisz, nie chciałeś do mnie, masz mnie za to u siebie.

I obaj starostowie serdecznie się uściskali.

— Bardzo mi miło, przemówił gospodarz, że pan starosta zwiększasz grono moich gości. I wyliczył mu wszystkich.

— Który to Zamojski?

— Pułkownik!

— Nie złe masz towarzystwo, ale to mi nie na rękę, że moja antypatja tu jest; i ciszej dodał: Bielski! Ale, ale, nie dziękujesz mi, a ja ci przecież interes podług gustu ułożyłem, przedłużając termin na dalsze trzy lata.

— Nie wiedziałem dotąd nic o tem, bo nie widziałem jeszcze posłańca mego; ale szczerze panu staroście dziękuję.

Obaj panowie weszli do sali jadalnej.

Potocki przywitawszy panie, zrobiwszy ukłon panom, siadł przy Kunaszewskim i wnet pomimo protestacyi gospodarstwa, że zaraz cały obiad podadzą, wziął się do prosięcia, połykając je grubemi kawałkami, i popijając winem, które bardzo chwalił. I przez resztę obiadu plótł wesoło, bawił się, śmiał serdecznie i głośno, a szczególniej mnóstwem komplemeotów panny Mrozowickie regalizował.

(C. d. n.)

WSPOMNIENIE.

Pomnę... na brzegu sześciu nas stało,
U brzegu łódki nie było:
Bo widmo burzy sznur jej stargało,
Od kwietnych brzegów spłoszyło.

I widząc smutek w waszem spojrzeniu,
Na licach wyraz tęsknoty,
I jam posmutniał.... bez słów... w milczeniu
Przekląłem burze i słoty.

O bracia! brzegiem żywot nasz krótki,
A wiarą łódka u brzegu;
Gdy w dniu cierpienia niestanie łódki,
Cóż poczniem biedni na brzegu?

Medyka 12. lipca 1855. *B. B.*

Miłość i cholera.

Zdarzenie prawdziwe.

(Ciąg dalszy.)

— Co tam słychać szambelanie? spytała staruszka.

— Coraz gorzej! odpowiedział szambelan głosem, jakiego by się nie powstydził Jeremiasz, zawodzący na gruzach miasta ojczystego.

— Jakto gorzej?...

— Ludzie we Lwowie padają jak muchy!...

— Jak muchy!... powtarzały echa niewieście, a ich oczy szeroko rozwarte patrzały na szambelana z komicznym strachem.

— Na dzień umiera po trzysta osób z okładem.

— Z okładem! o Boże!...

— Całe domy wymierają, tak że niema komu bramy zamknąć.

— Boże zlituj się!...

— W Krepa kamienicy jednego dnia wymarło trzynaście familii.

— A to Boży dopust!...

— W teatrze dwie loże całkiem wymarły w czasie jednego aktu; w orkiestrze padły naraz basetle, bęben i pikolino, a na scenie kochankowie chcący się własnie pocałować, padli nagle na wznak; okropne porwały ich kurcze, posinieli, poczernieli i już nie żyli.

— A to sąd ostateczny!...

— Jakaś kometa słyszę idzie od wschodu, a ogonem zwraca się na zachód, za nim to idzie cholera, dżuma, morowa zaraza, żółta gorączka, tyfus i jakiś zupełnie nowy karbunkuł. Paragraf, znakomity korespondent Czasu pisze ze Lwowa, że tam pojawiły się jakaś baba wbieli i jakiś pies ogromny czarny, które gdzie tylko przed którym domem się ukażą, tam wszystko wymrzeć musi.

— I niema ratunku żadnego?...

— Lekarze robią co mogą...

— Mamy tu przecie wszystkie lekarstwa, jakie dotąd wynaleźli!... ozwała się staruszka i wskazała na wpół otwartą szafkę, która rzeczywiście tak była doskonale zapełnioną, że jej widok łatwo mógł wrażliwej Bronci napędzić sen tak okropny.

— Czy nie ma jakich nowych środków...

— Powiadają że elektryka może pomódz.

— Szambelanie! szambelanie! postaraj się o elektrykę.

— I magnetyzm ma być także zbawienny.

— Szambelanie magnetyzuj nas, jak nas kochasz.

— Ale to wszystko jeszcze niewypróbowane.

— O lekarze bez serca!... za cóż jesteście lekarzami, za co bierzecie pieniądze i piszecie recepty!... jeżeli nic pomódz nie umiecie!... zawołała referendarzowa patetycznie.

— Najgłówniejszą rzeczą jest należytą zachować dyjetę, ciągnął szambelan dalej.

— My ją zachowujemy!...

— Bo to pokazuje się, że mnóstwo rzeczy jest niezdrowych i szkodliwych.

— Mów! mów kochany szambelanie? A ty Bronciu siadaj zaraz i zapisuj.

Posłuszna Broncia zasiadla z minką nader ważną do tego spisu nowego rodzaju.

— Już to podobno woda bardzo nie zdrowa? zaczęła referendarzowa z nieśmiałością.

— Istna trucizna! odrzekł szambelan sentencjonalnie, wzdyma i kurcze sprawia.

— A wino?...

— Jeszcze gorsze, równie jak i wszystkie inne trunki, sprawić może zapalenie kiszek!...

— Ale kawa?...

— Należy do rzędu trunków; rozpala krew.

— A widzisz Bronciu, a my codzień pijemy jeszcze tę rozpalającą truciznę. A herbata?

— A pfe! herbata najgorsza, bo ściągając kiszki może dać powód do kurczów.

— Dobrze mówisz szambelanie! ja ciągle jakieś ściskanie czułam po herbacie. Najlepsze tedy...

— Pieprzowa mięta i jałowiec.

— Mamy w domu podostatkiem. Bronciu na ciebie dzisiaj kolej gotowania, pamiętaj o mięcie i jałowcu.

— Mam dwa pełne garnki.

— Ale! ale, przypomniałam sobie, że lód bardzo chwalą.

— My już dawno lód używamy! Małanka przynosi nam codzień kilka funtów lodu, a Wania wyuczyła się doskonale robić pigułki z lodu. Ale powiedz nam jeszcze Szambelanciu coś o dietetycznych przepisach. Jaki ten szambelan szczęśliwy, że taką ma odwagę, i czytuje listy i gazety przychodzące z tego zapowietrzonego Lwowa. Już to mięso wołowe najzdrowsze podobno?...

— Gdzie tam!... za nadto ciężkie; rozpala krew i atakuje kiszki.

— A cielęcina?...

— Cielęcina równie jak i kurczęta nic nie warte, bo mięso niedościgłe to jakby owoc niedościgły.

— Ale za to drób domowy!...

— Za nadto pożywny, aromatyczny!... i drobiu o ile można strzedz się trzeba.

— O jarzynach niema się co nawet pytać.

— Nie dają pożywienia, wzdymają i robią równie jak owoce żołądek skłonny do rozwolnienia. Niemniej też szkodliwe są wszystkie nabiały i mączne potrawy. Nic łatwiejszego jak dostać po nich cholery.

— Babciu! zagadła Broncia, cóż będziemy jadły, kiedy wszystko niezdrowe?

— Cóż robić? nie można być dosyć ostrożnym naprzeciw tej wściekłej cholerze... odpowiedziała referendarzowa z westchnieniem.

— Najlepszy jest kleik!...

— A widzisz, Brońciu, kleik!...

— Jednego dnia ryżowy; drugiego perłowy.

— Ja też to uważałem że po sztucemięsa czułam jakby kamień jaki w żołądku, o tu, pod samemi piersiami. Smutne okropne czasy!.. A widzisz Brońciu zapomniałyśmy dzisiaj nasz zwykły przegląd. Chodźcie chodźcie tu dzieci i stańcie rzędem...

Jakoż trzy piękne siostry stanęły przed babką, i codziennym ordynkiem wystawiły języki. (D. c. n.)

NAJNOWSZE DZIEŁA.

Dzieje powszechne zewnętrzne i wewnętrzne, ułożone na wzór roczników, kronik i właściwej historyi z dziejobrazem powszechnym, przedstawiającym teatr wypadków pod względem czasu i miejsca, przez Stanisława Zarańskiego, prow. nauczyciela języka polskiego i jego literatury w c. k. akademii Maryi Teresy w Wiedniu. W tłoczni uniwersyteckiej L. K. Zamarskiego 1855.

(Dokończenie.)

W miarę rozwijan a się władz umysłowych dziecka postępuje nauka historii o krok wyżej. Umysł chłopca zaczyna wiązać pojedyncze wypadki — nauczyciel zastosuje opowiadanie do budzących się sił umysłowych ucznia, opowie zdarzenia obszerniej, wskazując powoli na ich związek. Temu stopniowi odpowiada kronika. Dojrzewającemu młodzieńcowi poda nauczyciel pokarm posilniejszy; oparłszy się bowiem na dotychczasowych przygotowaniach do właściwej historyi t. j. na nabytej dotąd przez ucznia znajomości zdarzeń, wskaże na ich wewnętrzny związek, rozwinie główniejsze epoki organizacyi państw, dziejów oświaty i „dozwoli", mówiąc słowami autora, „dojrzalszemu młodzieńcowi spostrzegać ducha narodów, i wglądać w wewnętrzny żywot ludzkości". W tym celu zamieścił autor w książce swej po części annalistycznej, jak opowiadanie na wzór roczników nazwał, kronikę i historją: pierwszą drukiem większym, dla drugiego, wtórą drukiem mniejszym, bardziej ściśnionym, dla trzeciego zwrotu w nauce historyi. I tu chciał autor, jak sam oświadcza, dać tylko skazówkę i słusznie; bo żywe słowo nauczyciela lepiej uczy od martwej książki, a uczeń zmuszony do powtarzania opowiedzianej przez nauczyciela treści historycznej, ćwiczy się w myśleniu, porządkowaniu materyałów i wysłowieniu.

Dalej mówi p. Zarański o podziale historyi i jej metodach, a na końcu wstępu objaśnia chronologiczny czworokąt, stanowiący tło dziejobrazu do książki dodanego.

Wspomnieliśmy wyżej, że umieszczamy słów tych kilka o pracy p. Zarańskiego w celu zwrócenia na nią uwagi nauczycieli i nauczycielek prywatnych; oni bowiem bez wszelkiej przeszkody używać mogą tej książki przy nauce historyi, a zarazem doświadczą o ile się sposób ten uczenia praktycznym okaże. Udzielając przytem swych doświadczeń i spostrzeżeń autorowi przyczynić się mogą do wydoskonalenia metody i ułatwią mu pracę; tym sposobem tworzyły się i po dziś dzień tworzą się wszędzie z pierwszych prób i zawiązków, przy połączonych chęciach i i siłach i przy wzajemnej pracy i pomocy książki i dzieła, mające coraz więcej wartości. Zaprowadzenie książki, o której piszemy, w szkołach publicznych pociągnęłoby za sobą zmianę planu, według którego dziś udzielają nauki historyi; uczą jej bowiem tylko w dwu kursach n. p. w niższem i wyższem gimnazyum. Według widzenia autora „annalistyczne systema dałoby się zastosować w szkołach normalnych i tak zwanych szkołach ludowych — część według kronik naśladowana w szkołach gimnazyalnych i realnych niższych, a dzieje wewnętrzne w szkołach tychże wyższych".

Co do treści historycznej w książce zawartej autor szczęśliwie i z taktem wybrał, o ile z czterech już wydanych zeszytów widzieć można z całego ogromu materyału dziejowego to, co przez krytykę dotychczasową historyczną ustalonem zostało; nie wchodzi w szczegóły drobne, raz by nie przeładować pojęcia ucznia, powtóre by książka w ogrom nie urosła; omija słusznie polemikę nad punktami sprzecznemi, bo ta do książki elementarnej nie należy. Przedmiot wykłada zwięźle, jasno i w języku poprawnym. Papier i druk piękny. Dziejobraz, na stali ryty, ozdobny.

P. Zarański umiał obok nauczycielstwa publicznego w Terezyanum i obok żmudnych zatrudnień pedagogicznych w instytucie prywatnym, znaleść przecie kilka chwil wolnych, które znów poświęcił pracy nowej i trudnej, a której owoc puszczony już w obieg czeka bliższego poznania i sądu, a tem samem i wsparcia znawców. — Niemożemy stosowniej zakończyć uwag naszych jak życzeniem gorącem, aby autor w nauczycielach tak publicznych jak i prywatnych znalazł naśladowców, by się zwiększał szereg dzieł podręcznych, których i największa liczba nigdy nam nie zawadzi. Dziś ich jeszcze mało, niestety bardzo mało mamy. Francuzi, Anglicy, Niemcy nie będą pisać dla nas książek podręcznych. Służmyż sami według sił i możności poczciwej sławie!

DYARYUSZ ŻYCIA
IGNACEGO ŁOPACIŃSKIEGO.

Pisarza skarb. w K. Lit.

(Ciąg dalszy.)

Po śmierci więc marszałka ojca swego, wziął do siebie pana Mikołaja teraźniejszego starostę mścisławskiego, a gdy król Stanisław od Moskwy rejterował się do Gdańska, spodziewając się tam otrzymać morzem sukurs od Francyi; Jmć ksiądz koadjutor Sapieha, natenczas proboszcz wileński, także pojechał do Gdańska i wziął braci moich. Tandem gdy Moskwa obległa Gdańsk, Imci ksiądz Sapieha z bracią moimi zemknął do Warmii; wkrótce potem i król Stanisław, gdy już miasto szturmów wytrzymać nie mogło, uciekł łodzią z Gdańska do Kwidzyna, a potem do Królewca.

Gdańsk zaś kapitulował się. Senatorów tam będących z prymasem Potockim, Moskwa w areszt wzięła. Gdy się tedy król Stanisław znalazł w Królewcu, i król pruski deklarował mu auxilium, zaczęli się panowie polscy tam zjeżdżać do niego, a najpierwszy przybył Imć ksiądz Sapieha, mając przy sobie braci moich, z których starszy

królowi kapelanował, a młodszy nadsługiwał, i posłany był od króla Stanisława z listami sekretnemi do Gdańska do senatorów w areszcie Moskwy będących; wszystkie warty przejechał przebrany po francusku pod imieniem Włocha kupczyka, (był bowiem bardzo młody, nie mając nad lat 19), i wszystkie listy pooddawał, a z responsami do króla Stanisława powrócił, któremu, przeczytawszy król responsa senatorów, te słowa powiedział: „Masz szczęście, panie bracie, że cię niepochwyciła Moskwa, bo byś był obwieszony; lecz będę pamiętał, gdy zdarzy Bóg być w Warszawie“; tymczasem zaś wpisać go kazał w rejestr dworzan swoich. Bracia Imci księdza Sapiehy, jeden Kazimierz generał artyleryi wielkiego księztwa litewskiego, z Janem Sapiehą kodeńskim natenczas kasztelanem trockim, a potem kanclerzem, już był przystąpił do króla Augusta; drugi Michał starosta gulbiński, potem podskarbi litewski, siedział na Żmudzi w dobrach swoich Szkudach nazwanych.

Wszyscy trzej bracia potrzebowali pieniędzy, ale do dóbr ruskich było daleko i trudny transport; użyli tedy brata mojego Mikołaja do tej drogi. Dla bezpieczniejszej zaś podróży wziął dla niego paszport Imć ksiądz proboszcz u króla Stanisława, a JW. generał artyleryi otrzymał paszport przez Imci pana kasztelana trockiego u króla Augusta.

A tak od obydwóch królów mając paszport, przybył szczęśliwie do Dąbrowny, a ztamtąd chcąc się widzieć z matką naszą, zbiegł na moment do Łopacina właśnie na same zapusty 1735 roku; odzyskał mię więc ze szkół, i powracając wziął z sobą, mającego lat jedenaście skończonych. Wyjechaliśmy nazajutrz po popielcowej środzie z Łopacina sanną drogą na Dąbrownę, gdzie wzięliśmy importancyą tameczną; ztamtąd obróciliśmy trakt na Bieszenkowice, Polock i Dryję, a że się już przed Dryją droga popsuła, więc konno jechać musieliśmy, mając wózek parokonny.

Gdybyć się łatwo było salwować z pieniędzmi, wzięliśmy je na siebie, to jest: brat mój wziął tysiąc czerwonych złotych, ja pięćset, pan Choćkiewicz, sługa brata mojego, tysiąc czerwonych złotych, a chłopiec mój i masztalerz brata megoj monetę na siebie wzięli; więce zaś z sobą ludzi niemieliśmy dlatego, aby się łacniej można było udać za jadących niby dla handlu do Rygi. Lubo zaś brat mój miał paszporta od obydwóch królów, wystrzegał się jednak zjechać się jak z Moskwą, tak z dywizyą, którą polską, boby to samo uczyniło podejrzenie, gdyby znaleziono dwa paszporta.

Jechaliśmy zatem takim ekwipażem na Düneburg, Kryzburg, Bausk, Zagóry, do Szkud, dokąd nimeśmy dojechali, dwa nas potrwożyły przypadki: jeden na pewnem miejscu nad Dźwiną, drugi w Bausku.

Pierwszy był taki: jadąc brzegiem Dźwiny, przyjechaliśmy nad jednę rzekę nie wielką, wpadającą do Dźwiny, na której lód już była woda podmyła, i powiadano nam, że tej nocy podróżny żyd wjechawszy tam, zatonął. Dźwina jednak acz niebardzo mocno, przecież stała: trudna tedy nam była przez tę rzekę przeprawa; poradzono więc nam objechać Dźwinę, a że ta rzeka w ujściu swojem nadpsowała brzeg, musieliśmy objeżdzać te miejsca aż po drugi brzeg Dźwiny.

Przeprowadzono zatem konie pojedyńczo, myśmi sami piechotą przeszli, wóz zaś trzeba było ludziom ciągnąć. Ja pierwszy poszedłszy, jużem był na drugiej stronie przy karczmie, zkąd gdym się obejrzał, obaczyłem brata mego na środku Dźwiny tonącego. Wypowiedzieć trudno jakem się przeląkł: raz z wrodzonej miłości będąc żalem przejęty; powtóre, acz w chłopięcych latach, przyszło to mi na myśl, że bez brata i moje życie nie pewne dla samych pieniędzy.

Aż wtem, cudownem boskiem miłosierdziem, brat mój został uratowanym, bo jak się rzekło, gdy wóz ludzie ciągnęli, na stopionym od słońca lodzie zarznęły się koła: brat mój ztyłu idący chcąc popchnąć wóz, wparł się obmocno jedną nogą w lód, który się pod nim załamał; wtedy burłak do przeprawienia najęty, tak zręcznie przez całą załamaną dziurę przerzucił tarcicę, iż brat mój wynurzywszy się wygodnie, onej mógł się chwycić i uratowanym został. Bóg dał, że nic to jego zdrowiu nieszkodziło; musieliśmy tylko na tamtem miejscu w karczmie zaczekać kilka godzin dla osuszenia się.

(C. d. n.)

Rozmaitość.

* Wszystko teraz coraz więcej wyrachowane na taniość i łatwość wyrobu, połączone z pięknym pozorem. I tak już teraz do tej przyszło doskonałości przemysłowej, że robią dachy z rodzaju massy papierowej, której używają już w Saksonii, i która ma być doskonała, a tak preparowana, że nawet ogniowi jest niedostępna. Najwyżej ją zaleca lekkość, i pozwala stawiać podstawy drewniane mniej ciężkie, a tem samem mniej kosztowne. Niedosyć na tem, ale robią także massę kamienną, czyli tak zwany sztuczny kamień, naśladujący doskonale marmur i granit, któremu najłatwiej nadać wszelką dowolną barwę, i z którego już dzisiaj wyrabiają wszelkie większe i mniejsze sprzęty od posągów i kolumn zacząwszy.

* Jego Excellencja Ksiądz Arcybiskup Baraniecki wyjechał wczoraj znowu na nową wizytacją, a to mianowicie w obwód Stryjski.

* We środę wystąpiła na scenie niemieckiej panna *Morska*, w operze *Robert Diabeł* jako *Izabella*. Drugi występ w *Normie*. Podobała się bardzo publiczności tutejszej, jakoż rzeczywiście okazała wiele talentu, i głosu w śpiewie swoim. Później rozpiszemy się szerzej o niej. —

*Lwowski teatr niemiecki wypełnia tymczasowo braki wskładzie swym bohatyrami — karłami. Dwóch karłów występowało już po dwakroć w krotochwilach, w rolach w których w Wiedniu grywali Nestroj i Scholz. Gra ich jest niezła, ale śpiew niemiłe czyni wrażenie. Widać iż przy takiem dziwacznem upostaciowaniu karłem człowieka

najwięcej cierpią piersi, iż tam niejako rozwija się ten błąd natury. Obecnie przybył jeszcze trzeci karzeł, Węgier, mniejszy jeszcze od poprzednich bo 25 cali wzrostu mający i występuje dziś po raz pierwszy.

Przyjechali od dnia 19. do 21. Września do Lwowa.

PP. Bohdan Stan. z Przemyśla. Poninska księżniczka z Czerwonogrodu. Głogowski Art. z Bojaniec. Polanowski Alex. z Moszkowa. Stan. Polanoski i Jan Blauth z Żółkwi. Zabielski Teod. hr. z Doroszkowa. Dzieduszycki Włodz. hr. z Poturzyc. Łokoiejowski Lud. z Lipska. Mier hr. Fel. z Buska. Żarski Kaźm. z Kulawy. Turczyński Jan z Żółkwi. Cetnarski Wic. z Nikłowic. Józ. i Jan Czermińscy z Kieszkowa.

PP. Posinger Lud. i Pinkas Frydr. z Żółkwi. Kielanowski Tyt. z Żelechowa. Hubrich Aug. z Czerniowic. Skarbek Sew. hr. z Tarnopola. Bogdanowicz Rob. z Litiatyna. Krzeczkowski Marc. z Sambora. Lewandowski Ludw. z Rzeszowa. Czermiński Jul. z Glińska. Dzieduszycki Jan hr. z Sichowa.

Wyjechali od dnia 19. do 21. Września ze Lwowa.

PP. Chiliński Ad. do Wisłowiec. Badeni hr. Alex. do Glinian. Lityński Wal. do Litwinowa. Golejewski Jan hr. do Krzywczy. Nowak Fel. do Stanisławowa. Malczewski Jul. do Skwarzawy. Bogdanowicz Max. do Przemiwółki. Starzyński Leop. do Gaj. Falkensztein Zyg. br. do Rawy. Koziebrodzki Fel. hr. do Kałusza.

PP. Galdecki kan. i Bryńkowski Jan do Stryja. Gątkiewicz Mich. do Glińska. Obertyński Wacł. do Żółkwi. Czermiński Juliusz do Glińska. Schubert Albert, Glögel Józ. i Demytrykiewicz Jerzy do Krakowa. Domaradzki Ludw. do Kołodziejowa. Bobowski Konst. do Humnisk. Karnicki hr. Teodor do Michałowic. Starzyński Józ. hr. do Gaj.

Kurs telegrafowany z Wiednia 21. b. m. o g. 2. popołud.

Augsburg za 100 złr. .	$114\frac{1}{8}$	Pożyczka 5%	$76\frac{7}{8}$ —
Hamburg za 100 tal. banco	$82\frac{1}{4}$	Akcye banku	1048
Londyn za 1 funt szterl.,	11 5	Kolej północna	2030
Medyolan za 300 lirów	$112\frac{3}{4}$	Obl. ind.	$66\frac{3}{4}$
Paryż za 300 franków .	132	Nowa pożyczka z loteryą	$98\frac{1}{16}$
Agio duk. ces.	$20\frac{1}{4}$	Pożyczka narodowa . .	$79\frac{11}{16}$

Kurs Lwowski

Wczorajszy							
		Gotówką			towarem.		
Dukat holenderski	złr.	5	kr. 21	złr.	5	kr	25
Dukat cesarski	«	5	» 29	»	5	»	32
Półimperyał zł. rosyjski	«	9	« 11	»	9	»	15
Rubel srebrny rosyjski	»	1	« 46	«	1	»	47
Talar pruski	»	1	« 43	»	1	«	45
Polski kurant i pięciozłotówka	»	1	« 16	»	1	»	17
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	»	91	« 40		91	»	—
Galicyjskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu		70	» 30	»	70	«	54
5 proc. pożyczka narodowa		79	» 20	»	80	»	20

Lwów, 21. b. m. Na dzisiejszym targu płacono korzec pszenicy ozimej po 37 złr. 30 kr. do 40 złr. — kr. — Żyta po 21 złr. — kr. do 27 złr. 30 kr. Jęczmienia po — złr. — kr. do — złr. — kr. Owsa po 13 złr. — kr. do 14 złr. — kr. Grochu po — złr. — kr. do — złr. — kr. Hreczki po 21 złr. — kr. do — złr. — kr. — Ziemniaków po 8złr.45kr do 10złr.30 kr. Sąg drzewa bukowego 42 złr. 30 kr. do — złr. — kr. Sosnowego po 38 złr. 7 kr. do — złr. w.w. Cetnar siana 3 złr. — kr. do 3 złr. 27 kr. Centnar słomy 2 złr. 30 kr. do 2 złr. 45 kr. w. w. Garniec 30 stopniowej okowity bez opłaty 4 Złr. 10 kr. do 4 złr. $27\frac{1}{2}$ kr. w. w.

☞ Do dzisiejszego numeru dołączony jest Dodatek.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**

Dodatek do dziennika „NOWINY“ Nr. 113 z roku 1855.

Nowości literackie

w księgarni H. W. Kallenbacha we Lwowie

Sny życia naszego.

Poezye

przez

Wincentego Gaździckiego.

w 12ce Warszawa, 1855. 1 złr. 12 kr.

CHATKA W LESIE.

Dziwactwo dramatyczne w pięciu ustępach.

przez Władysława Syrokomlę.

w 12ce Wilno 1855. 2 złr. 12 kr.

SZKICE WARSZAWSKIE.

Lichwiarze

przez

Władysława Syrokomlę.

w 8ce Warszawa 1853. 1. złr. 30. kr.

WYCIECZKI

po stokach galicyjskich i węgierskich Tatrów.

przez Dra. T. Tripplin.

2 tomy w 12ce Warszawa 1855. 4 złr. 48 kr.

O PRZEZNACZENIU DZIEWICY,

jako kochanki i narzeczonej,

oraz

zasady przyzwoitego ułożenia, uprzejmości i godności, które dziewica w zakresie domowym, w obcowaniu z przyjaciółkami i w towarzystwie młodzieży zachować powinna.

przez Matyldę K.

w 8ce Warszawa 1855. 1 złr. 30 kr.

POWIEŚCI MORALNE

dla dzieci.

przez *Autorkę pamiątki pod dobrej matce.*

Wydanie trzecie poprawne i pomnożone, i czterma rycinami ozdobione.

w 12ce Warszawa 1855. 2 złr.

O drzewie i jego użytkach.

przez

Benedykta Aleksandrowicza.

w 8ce duż. Warszawa 1855. 3 złr. 36 kr.

Chemiczne

Sprawy żywotne.

przez Dra medycyny

A. Kryszkę.

w 8ce duż. Warszawa 1855. 3 złr.

WYRABIANIE SPIRYTUSU

z buraków

jako najpewniejszy środek produkowania

tanio mięsa,

a zarazem znacznego powiększenia zbioru zboża.

w 8ce duż. z dwiema tablicami rycin.

Warszawa 1855. 4 złr.

ŁUBIN,

nowa roślina gospodarska.

Dwie rozprawy

Hermana Gropp i W. Kettego.

w 8ce Poznań 1854. 36 kr.

PRZEWODNIK

do hodowli pszczół.

przez

Jana Sikorskiego.

w 8ce Wilno 1854. 36 kr.

*

GRAMATYKA POLSKO-FRANCUSKA

według nowej metody

OLLENDORFFA

dla nabycia wprawy w czytaniu, pisaniu i mówieniu tym językiem w 6 miesiącach,

wypracowana według jego francuskiej gramatyki dla Anglików i wydana przez

JANA JULIANA SZCZEPAŃSKIEGO,

nauczyciela polskiego języka w c. k. akademii technicznej we Lwowie.

Egzemplarz obejmujący 31½ arkuszy drukowanych kosztuje **3** złr m. k. i jest do nabycia u księgarzy lwowskich i w pomieszkaniu wydawcy pod Nr. 2¾.

Klucz, czyli poprawne tłumaczenie francuskie ćwiczeń, zawartych w tej gramatyce, jest już w druku.

Przy wzmagającem się ciągle rozszerzeniu i zastosowaniu prawie do wszystkich języków cywilizacyi europejskiej, obchodzi metoda Ollendorffa tryumf, jakim dotychczas żadna podobna gramatyka pochlubić się nie może. — Stawia najoczewistszy dowód swej użyteczności w taki sposób, jakiego dotychczas nie okaże żadne dzieło podobnego rodzaju, bo w krótkim przeciągu, od czasu swego pojawienia się, upowszechniła już swój sposób uczenia we wszystkich ucywilizowanych narodach, które są zdolne wydać w tej mierze kompetencyjny wyrok, i pomaga przyswajać sobie nawzajem ich języki i literaturę. W Niemczech, w Anglii, we Francyi i Włoszech, w Ameryce Hiszpanii i Rossyi, wszędzie oddają jej sprawiedliwość, że najłatwiej i najspieszniej prowadzi do celu, bo w gramatyce jednego języka, w nauczeniu się go, znajduje uczeń zaraz klucz do nauczenia się drugiego języka.

Również wielokrotne jej w krótkim przeciągu czasu w licznych egzemplarzach wydania jawnie przemawiają za jej użytecznością. — Właśnie temi czasy wyszło szóste wydanie gramatyki francuskiej; angielskiej czwarte, a włoskiej drugie.

Ogółowy zbiór ich pomnożyły następnie: „**Grammatica della lingua tedesca**,“ równie jak nowa gramatyka holenderska, tudzież „**Cours de Littérature Française, adapté à la méthode d'Ollendorff**“, po którym wkrótce wyjdą „**Grammatica francese**“ dla Włochów, tudzież rossyjska, a nawet jak donoszą, i polska dla Niemców, a im bardziej zastosowuje się ten nowy sposób do potrzeby nauki, tem bardziej musi ułatwiać nauczenie się obcych języków, gdyż uczeń nie ma przytem do zwalczenia nowych teoryi, lecz postępuje nieprzerwanie znanym już sobie trybem. Ta zgodność nauki gramatycznej przynosi w szkołach publicznych, w zakładach naukowych i na pensyach bardzo wielki pożytek: oszczędza nauczycielowi i uczniowi czasu i pracy i zapewnia, jak okazało doświadczenie, najpomyślniejszy skutek.

„Śmiało twierdzić można,“ mówi wydawca tej gramatyki dla Niemców w Frankfurcie, Karol Jügel, „że jeszcze żadna szkolna książka nie miała tak szybko po sobie idących, a przytem tak niezwyczajnie licznych wydań. Same zalecania i zachwalania nie byłyby mogły osiągnąć takiego rezultatu, ani też przez ośm lat utrzymać ciągle powiększającego się odbytu. Gdyby ta książka nie odpowiadała wszelkim oczekiwaniom, gdyby wbrew licznym przeciwnikom, nie zaspokajała jak najdokładniej i nauczycieli i uczniów, nie byłaby zdołała śród zakorzenionych przesądów utorować sobie drogę i wbrew wielu zarzutom tak świetnie się utrzymać. Wszelka nowość odstępująca od zwyczajnego trybu, znajduje przeciwników, a przeciwnikami tej, wprawdzie nie zupełnie nowej metody, są częścią uparci teoretycy szkoły dawniejszej, częścią tacy nauczyciele, którym w ten sposób nazbyt prędko postępuje nauka. Kto raz poznał tę metodę, nie powróci już do dawnego systemu; jakoż bardzo wielu, którzy według dawnego systemu uczyli się języka francuskiego, a później poznali nowy sposób uczenia języka angielskiego, kupili sobie także gramatykę według nowej metody Ollendorffa, bo się przekonali, że przezto wszystko jaśniej, łatwiej, zwięźlej i dokładniej pojmują.“

Nakoniec, czyliż nauczyciele wykładający język francuski według gramatyki L'Homonda, Hirtzla, Machata i t. d. nie zalecają swym uczniom dla wprawy w konwersacyi, rozmów pani Bocquel, Coursiera, L'Eccho de Paris i t. d.? A według metody Ollendorffa odpadają wszystkie te dodatki jako niepotrzebne. Ollendorff prowadzony głównie tą myślą, że nauka języka nie na tem się zasadza, ażeby wpajać w ucznia same prawidła i pojedyńcze przykłady, które i tak łatwo się zapominają, ale żeby w tymże języku płynnie i poprawnie swe myśli wyrażać, napisał gramatykę praktyczną, gdzie prawidła uczniowi tylko wskazane bywają w miarę postępu w ćwiczeniach praktycznych, zawartych w samych prawie pytaniach i stosownych odpowiedziach. Sposób taki jest bawiący, nie nudzi ucznia, ani zbytnią ilością prawideł nie utrudza jego pamięci, gdyż zaraz od początku pierwszej lekcyi poczyna uczeń rozmowę z nauczycielem w języku obcym, równym krokiem postępując w czytaniu, mówieniu, pisaniu i tłumaczeniu. Prawidła zaś gramatyczne następują jakby nawiasem, z niechcenia, jako objaśnienia z rzeczy wypływające. Od pierwszych więc chwil poczyna uczeń poznawać mechaniczny skład i ducha języka, i to też mu ułatwia dalszy postęp, a umysł w ciągłem trzymany oczekiwaniu, tem chętniej zajmuje się swoim przedmiotem, nabywając łatwości w mówieniu obcym językiem, która główną jest rzeczą, a której według żadnej innej metody w tak krótkim czasie nabyć niepodobna.

Na uzasadnienie tego zdania, przytacza Ollendorff następujący wypadek: Pewien Gentlemen słysząc raz na okręcie majtka recytującego wszystkie wiatry, rzekł: Ty umiesz tak dobrze swoje wiatry na pamięć, jak ja mój pacierz. — Majtek odrzekł: Przepraszam, ja umiem lepiej, niż pan swój pacierz. A to jakim sposobem? zapytał Gentlemen. Chciej pan recytować swój pacierz. Gentlemen wyrecy-

tował cały Ojczenasz, a majtek rzekł: Teraz niech pan zaczyna od końca i recytuje do początku. — O co tego, to nie potrafię, odrzekł Gentlemen. — A ja wyrecytuję panu moje wiatry od początku do końca a od końca aż do początku, rzekł majtek i uczynił to.

Otóż taki jest rezultat zawartych w tej gramatyce ćwiczeń twierdzących, przeczących, twierdząco-pytających i przecząco-pytających.

Książki polskie nie mają tak obszernego pola do odbytu. jak książki francuzkie albo niemieckie, a przytem wydanie ich jest połączone z wielkim kosztem. Wydawca więc nie byłby podjął tak mozolną pracę tłumaczenia na język polski tej gramatyki, i nie narażałby się na stratę, gdyby nie był zupełnie przekonany, że tem tłumaczeniem przyniesie prawdziwy pożytek młodzieży polskiej — spodziewać się więc należy, że Rodzice i Nauczyciele ocenią tę pracę i zalecą młodej generacyi metodę, która dotychczas okazała się najlepszą ze wszystkich. (169)
